

Dom Św. Marcina de Porres
Misión y Compasión
Agnieszka Chytła, PERU
Wrzesień 2024

„Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili.”

Mt 25, 40

Witajcie Kochani Darczyńcy,

od mojego ostatniego listu do Was, minęły około dwa miesiące. W Peru panuje obecnie okres zimowy. Odczuwalna temperatura jest bardzo niska, ze względu na wysoką wilgotność powietrza. To, że jest zimno, nie tylko czuć, ale i słysząc w odpowiedziach mieszkańców, gdy pytamy o ich samopoczucie. Niemniej ja, w tym czasie miałam to szczęście zaczerpnąć trochę letniego, polskiego słońca. Powodem przylotu do kraju, był ślub mojego brata.

W Polsce spotkałam wielu z Was. Jestem bardzo mile zaskoczona odbiorem misji, którą prowadzimy. Bardzo spodobały mi się Wasze spostrzeżenia podczas odbytych rozmów. Na przykład to o życiu kontemplacją i poszukiwaniu Jezusa w spotykanych osobach. Czy o istocie obecności – jak nieraz wystarczające jest wystuchanie drugiego człowieka.

Nasza parafia

W ostatnim czasie miałam okazję przeżyć 46. rocznicę naszej lokalnej parafii. Jest to parafia pod wezwaniem św. Damiana z Molokai. Św. Damian był misjonarzem, który poświęcił swoje życie, by oddać się służbie wśród trędowatych na wyspie Molokai (Hawaje).

Nasz mały „Molokai”, również prowadzony jest przez misjonarzy. Księża, o których mowa – pochodzą z Indii, tj. ks. Sijo i ks. Jemy. Uroczysta Msza Święta została ubarwiona śpiewem i grą na instrumentach, tj. flet, gitara, bęben itp. Muzyka brzmiała dla mnie jak z samego serca Peru.



Fiesta przed parafią po procesji

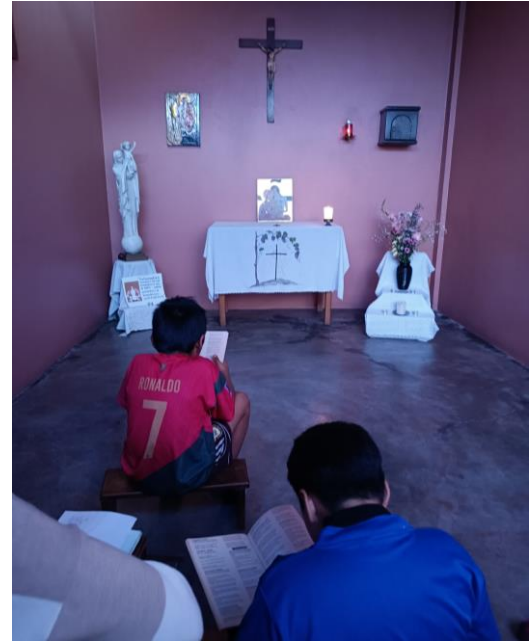


W naszej parafii pw. św. Damiana de Molokai

Po Mszy Świętej odbył się pochód ulicami dzielnicy. Na przedzie wierni nieśli statuetkę naszego świętego patrona. W miarę pochodu atmosfera stawała się coraz radośniejsza. Barwny śpiew i coraz to bardziej taneczny rytm pobudzał ducha wiernych. Spostrzegłam, że śpiew i taniec są wpisane w tutejszą kulturę. Stanowią radosny akcent tutejszego życia.

Śpiew

Śpiewać lubią tutaj chyba wszyscy. Nawet kilkuletni chłopcy. Pewnego czwartkowego dnia przyszło do nas kilku zaprzyjaźnionych „łobuzów”. Mieli w sobie dużo energii i trochę rozrabiali. Ale że akurat była godzina, w której odmawiamy różaniec, zaprosiliśmy ich do wspólnej modlitwy. Trochę się niecierpliwiłi i ciężko im było zachować spokój. Niemniej wytrwali do końca. Po różańcu zaproponowałyśmy zaśpiewanie piosenki. Marie-Sophie zagrała na gitarze, a my akompaniowałyśmy. Byłam olśniona ich momentalną przemianą, jak się niesamowicie szybko zaangażowali. Oczarowało mnie to, jak próbowali dać z siebie wszystko, jak im zależało, żeby dobrze zaintonować kolejne wersy tekstu. Był to taki cudowny moment, w którym chłopcy, mogli wydobyć z siebie, to co pięknego w nich drzemie.



Dayiro i Mathias podczas śpiewu w naszej kaplicy

Dom



Elizabeth, Dom Kobiet Św. Józefiny Bakhity

Cudowne momenty przeżywamy też we wtorkowe popołudnia z dziewczynami i ich dziećmi w *Casa Bakhita* (czyli w Domu Kobiet Św. Józefiny Bakhity). Ostatnie momenty, które najbardziej zapisały mi się w pamięci z tego domu to: wspólne tańce, trzymanie na rękach 15-dniowe dziecięcia (które oprócz domu, nie miało też imienia), czy gra w Monopoly. Nie wiem, czy to powszechna reguła Monopoly, ale tamtego dnia poinformowano mnie, że należy wyrzucić 2 szóstki – czyli szóstkę na obydwu kościach – aby można było rozpocząć grę. Minęło tak wiele bezskutecznych rzutów, że byliśmy już znużone. Aż w pewnym momencie przyszła mi myśl, by wraz z rzutem kośćmi powiedzieć: *Casa Bakitha*. Tak też od razu zrobiłam i obydwie kości zatrzymały się na dwóch szóstkach! Miałam wrażenie, jakby coś zaiskrzyło między Niebem a Ziemią. Może sama Św. Bakhita, która spoglądała na nas chciała powiedzieć: tak to mój dom, i moje dziewczyny. Dom dla każdej z tych kobiet i ich dzieci.

Ogród

Zazwyczaj po apostolacie w Domu Kobiet czy szpitalu – zjeżdżamy na dzień odpoczynku. W tygodniu przysługuje nam jeden taki dzień. Zazwyczaj jest to środa. Aby zaoszczędzić czasu, z apostolatu najczęściej jedziemy bezpośrednio do zaprzyjaźnionych sióstr. Same siostry, przypominają mi dobre opiekunki – zawsze uśmiechnięte, gotowe by służyć. Zawsze mają ciekawe historie do opowiedzenia, które wynoszą z obserwacji i spotkań z ludźmi. Ich dom i kaplicę otacza piękny ogród, które same założyły. W ogrodzie pomaga im obecnie pewien starszy pan – Fidel. Ostatnio miałam to szczęście, że uczył mnie sadzenia i pielęgnacji lokalnych roślin. Przyznam, że mam sentyment do ogrodników. Myślę, że przez wzgląd na moich dziadków i rodziców, którzy z pasji do piękna otaczającej dom roślinności, wkładają w ogrodnictwo nie mniej swojego serca.



Pan Fidel w głębi ogrodu, podczas pracy

Światło

Zdarza się, że dzień odpoczynku spędzamy też w naszym drugim domu – w dzielnicy Barrios Altos. Dzielnica ta znajduje się blisko ścisłego centrum miasta. Jeden z takich ostatnich dni był dniem tuż przed zamknięciem domu na miesiąc. Wynikało to z tymczasowego rozjazdu wolontariuszy. Stąd też w wieczór przed odpoczynkiem przyszedł ksiądz z lokalnej parafii po Najświętszy Sakrament. Chwile po tym jak wyszedł – gdy jedliśmy kolację – zgasło światło, a z ulicy dobiegł tłumny okrzyk mieszkańców. Okazało się, że odcięto dostawę prądu. Przyszła mi wtedy myśl, że z domu zniknęło światło razem z Panem Jezusem. I przypomniały mi się wtedy też słowa papieża Benedykta XVI do dzieci, który tłumaczył jak działa Najświętszy Sakrament. To jak On działa, przyrównał do działania prądu, którego nie widać, ale jednak gdy jest i się do niego podłączy – rzeczy mogą właściwie funkcjonować.

Rodzina Janet

8. lipca, w dzień wolny od nauki (z okazji dnia nauczyciela), zabraliśmy rodzinę naszej przyjaciółki – Janet do ZOO. Janet ma 32 lata i piątkę dzieci, tj.: Jose Luis (14 lat), Cielo (12 lat), Michaela (9 lat), Keller (5 lat), Katalaya (2 lata).

Mieszkają w małym domku na samym szczycie pobliskiej dzielnicy. Nie mają bieżącej wody. Dzieci rano wtaczają baniaki z wodą, którą udostępnia im sąsiad. Pamiętam, że jak pierwszy raz zobaczyłam te dzieci, to sprawiły wrażenie wyjątkowo zadbanych. Tym bardziej byłam zaskoczona jak usłyszałam, że nie mają w domu bieżącej wody. Mama wychowuje je w głównej mierze sama. Ojciec dzieci ma trudność w utrzymaniu trwałej relacji małżeńskiej i rodzicielskiej. Zdarza się, że dzieci Janet zostają same w domu. Widać jednak, jak piękną troską się otaczają. W szczególności jak te starsze dbają o młodsze. Uroczy był dla mnie widok, jak mały Keller słodko spał na kolanach Jose, w drodze powrotnej z zoo. Z drugiej strony, ile to go musi kosztować, mimo tak młodego wieku jest czasem jak ojciec dla młodszego rodzeństwa. Ufam jednak, że nasza uwaga skierowana w stronę tej rodziny, chociaż trochę pomaga. Widziałam, ile radości przyniosło dzieciom wyjście do zoo. Jak się cieszyły z egzotycznych zwierząt, które widziały. A nawet z tak prostych zabaw w zoo, jak turlanie się z trawiastej góry. W naszej dzielnicy podłoże jest piaszczyste kamieniste. Stąd byłam zaskoczona, jak mały Keller wpadł na powyższy pomysł. Ciekawe jest dla mnie też to, że dzieci w Peru mają te same pomysły jak dzieci w Polsce. Jakby były one wpisane w naturę dziecka, bez względu na zakątek świata, w którym dorastają.



Dom rodziny Janet – w centralnej części zdjęcia, pierwszy po lewej od zielonego, Las Lomas



W ZOO, od lewej: Jose Luis, Janett, Kataleya, ja, Keller, Michaela, Marie-Sophie, Cielo, Mariela, Karolina

Maleńkość świata

Swoją drogą, coraz bardziej mam wrażenie, że ten świat nie jest taki duży, jak myślałam za dziecka. A nawet mogłabym się zgodzić ze stwierdzeniem zaprzyjaźnionego księdza, że wręcz mikroskopijny. Wyobraźcie sobie, że „częstka” mojego małego miasta jest i tutaj! 15 minut pieszo od szpitala, w którym prowadzimy apostolat. Mam tu na myśli brata zakonnego z mojego rodzinnego miasta. Brat Piotr posługuje w przepięknej, lokalnej parafii franciszkanów. Co więcej, z jego siostrą chodziłam do klasy w podstawówce, natomiast nasi dziadkowie pracowali w jednej fabryce autobusów. I nie tylko on mnie tu zaskoczył. Okazało się, że razem z nim, jest tu jeszcze jeden polski ojciec zakonny, który dorastał zaledwie 40 km od mojego miasta. Ojciec Stanisław z Wara, jest już 30-parę lat w Peru. Wcześniej służył 15 lat na misji w Boliwii (do której płyną statkiem 2 miesiące!). Ich obecność tutaj (nawet jeśli jak dotychczas widzieliśmy się tylko raz) jest dla mnie bardzo miłym akcentem.



Lokalna parafia Ojców Franciszkanów

Ogień

Pewnego sierpniowego dnia jak co dzień wyszłam z towarzyszką ze wspólnoty na wizyty do naszych przyjaciół. Tuż po wyjściu z domu zobaczyliśmy w oddali mocny dym. Trudno było przejść obok tego zjawiska obojętnie.



Marie Sophie z Bridget na tle jej domu, po pożarze

Zmieniłyśmy więc kierunek, aby sprawdzić, czy nie jest potrzebna pomoc. Okazało się, że w płomieniach stoi kilka domów. Na miejscu nie było jeszcze straży pożarnej. Mieszkańcy sami próbowali opanować sytuację. Obok spotkałyśmy kilkuletnią dziewczynkę o imieniu April, której rodzice ratowali dom. Ona natomiast została z ciotką i jej dziećmi. Płakała przejęta sytuacją. Próbowałyśmy ją pocieszyć, ale była też potrzebna pomoc mieszkańcom gaszącym pożar. Marie-Sophie zaczęła więc napełniać wiadra z wodą – czerpiąc od sąsiadów. Natomiast ja zajęłam się zgarnianiem piasku i podawaniem w naczyniu osobom gaszącym ogniska. Gdy już przyjechała straż pożarna,

poszliśmy do tych, u których zauważyliśmy, że potrzebują naszej obecności. Usiadłam wtedy z 3-letnim Fernandem, który potrzebował większej opieki ze względu na niepełnosprawność. Natomiast Marie-Sophie poszła do naszej zaprzyjaźnionej rodziny, tj. Metche – jej matki Palmiry oraz dzieci: Richarda, Daniela, Bridget i Patricka. Chwała Bogu, ich dom dało się uratować. Ale niestety niemalże doszczętnie spaliło się 7 domów obok. Ostały się tylko murowane ściany. W kolejnych dniach starałyśmy się zaglądać do poszkodowanych, którzy obecnie mieszkają w namiotach zapewnionych przez lokalny urząd. Upiekłyśmy ciasteczka z grupą wychowanków naszego domu, jako taki symboliczny gest troski i wsparcia.

Mimo tragedii, jaka się wydarzyła – poszkodowani, których widziałam, byli bardzo spokojni. Nie awanturowali się, nie szukali winnego. Chociaż widać było, że jest im z tym ciężko.

Ładnie zachowali się też lokalni mieszkańcy, którzy ofiarowali odzież i prowiant, mimo że sami nie mają tak wiele.

Mariela

Na koniec z podzięką wspomnę, że ostatni czas byliśmy wspomagane przez Marielę z Ekwadoru. Tu też obchodziłyśmy jej 35 urodziny. Mariela przyjechała do nas na dwa miesiące do pomocy. Wcześniej odbyła misję w Hondurasie. Jej obecność pomogła nam logistycznie – dzięki niej, codziennie mogliśmy odwiedzać więcej osób. Była dla nas również wsparciem merytorycznym pod względem doświadczenia i języka. I ostatecznie jej cechy charakteru – stanowiły piękne dopełnienie naszej wspólnoty.



Pieczenie ciasteczek podczas dwżuru z dziećmi

I Wam też – moi Drodzy Darczyńcy – raz jeszcze pragnę podziękować, że mogę tu być i służyć. Jest to dla mnie błogosławiony czas. Cudownie jest móc poznać inną kulturę od wewnątrz. Być jedną z nich. A przy tym prowadzić tak proste życie. Jestem niezmiernie wdzięczna, że lokalni mieszkańcy zapraszają nas do swoich domów. Że się przed nami otwierają i dają nam poznać swoje historie. A my możemy je nosić w sercach i zawierzać Panu Bogu.

Z pozdrowieniami,

Agnieszka